Cena 30 gr

Świat MŁODYCH

Nr 49 (209) Rok IV
WARSZAWA 14.XII. 1952

PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

Należymy do obozu pokoju, do obozu, który poczuwa się do odpowiedzialności za losy swego narodu i za losy ludzkości, za losy jej kultury, za jej obronę przed pożogą, rozpalaną przez imperialistycznych ludobójców.

BOLESŁAW BIERUT

MY CHCEMY POKOJU

Kiedy będziesz czytał ten numer, 1500 ludzi ze wszystkich części kuli ziemskiej radzić będzie w Wiedniu o tym, jak obronić Twoje spokojne, szczęśliwe dzieciństwo, jak zachować pokój na świecie.

Twoja Ojczyzna — nasza Polska Ludowa, to kraj pokoju. Cały nasz naród stoi nieugięcie na straży niepodległości i szczęścia Ojczyzny. Przy boku Związku Radzieckiego razem z innymi krajami demokracji ludowej walczymy „o naszą i waszą wolność", o szczęście i przyjaźń wszystkich narodów.

Pamiętaj: i Ty jesteś najmłodszym żołnierzem Wielkiej Sprawy Pokoju.

POCZTA BIAŁEGO GOŁĘBIA

Poprzez dalekie morza i lądy piszą do siebie dzieci różnych krajów. Przeczytaj te listy! Choć pisane były w różnych językach, wszystkie niosą w świat radosną wieść: POKOJ I PRZYJAŹŃ ZWYCIĘŻAJĄ WOJNĘ.

LIST Z FRANCJI DO AMERYKI

Posyłam Wam gołębia pokoju. Niech poprzez miasta i wsie poleci z Paryża do Ameryki i zmusi Trumana, żeby przestał myśleć o wojnie. Wojna to smutek, to łzy matek i dzieci. Moi cioteczni bracia stracili ojca na wojnie. Bez ojca źle im i smutno. Wytężmy wszyscy siły, żeby zachować pokój!

Jacques Wincent, Paryż

LIST Z WĘGIER DO ZSRR

My, pionierzy, z wdzięcznością myślimy o Waszych bohaterach, którzy przynieśli nam szczęśliwe pokojowe życie. Wiemy, że mamy jeszcze dużo wrogów, którzy chcieliby zniszczyć nasze wspólne szczęście. Ale my na to nie pozwolimy. Obronimy nasz kraj, nasze nowe budowle, nasze piękne miasto Stalinawarosz.

Będziemy tak samo mężni i dzielni, jak wy. Nie lękamy się żadnych trudności.

Pozdrawiamy Was naszym pionierskim hasłem:

„Z ludźmi pracy dla Ojczyzny, z Rakoszim — naprzód!

LIST Z URUGWAJU DO MOSKWY

Kochani radzieccy przyjaciele!

My, urugwajskie dzieci, postanowiłyśmy walczyć o pokój. Założyliśmy u nas w Malwinie, rejon Montevideo, klub, który nazwaliśmy: „Dziecięcy Klub Bojowników o Pokój". Nasz rząd jest posłuszny imperialistom — wysyła żołnierzy i okręty wojenne do walki z narodem koreańskim. Ale my, dzieci urugwajskich robotników, chcemy pokoju. Chcemy, żeby nie było nigdy wojny przeciw ZSRR, ani żadnemu innemu pokojowemu krajowi. W imieniu naszego „Malwińskiego Klubu Dzieci — Bojowników o Pokój" posyłamy Wam najserdeczniejsze pozdrowienia.

Izabel Wiana Poleri, Alwaro Seutron Mieres, Beto Gadak

LIST DO KOLEGI W KOREI

Mój kochany towarzyszu z dalekiej Korei!

Mam 10 lat. W 1942 r., gdy jeszcze byłem mały, siedziałem z matką w więzieniu, dlatego

że matka moja walczyła o pokój.

Chociaż mieszkam daleko, często oglądam w gazecie „Humanité" fotografie Twego kraju. Niegodziwcy, zabijają Waszych ojców, matki i małe dzieci. Ja nie chcę, by bombardowano koreańskie i francuskie wsie i miasta. Dobrze się uczę i pragnę uczyć się dalej. Jestem członkiem „Związku odważnych". Ze wszystkimi dziećmi Francji wołamy wojnie: „Precz!". Niech żyje pokój!

Jacques Mer, Francja

List z Polski do Hamburga

Drogi Kolego z Niemiec Zachodnich!

Ja mieszkam w Chwaliszewie, chodzę do klasy VII. Nasza wieś jest duża i ładnie położona. Dookoła otaczają ją lasy, a niedaleko przepływa rzeczka, Czarna Woda. W szkole jest nam bardzo miło i wesoło. Teraz jest u nas już zima. Po lekcjach często chodzimy na ślizgawkę. Niedługo będą święta i Nowy Rok. W

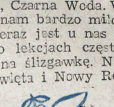

domu na pewno mamusia zrobi mi choinkę. Obie z młodszą siostrą już teraz robimy zabawki. W szkole też będziemy mieli choinkę, będzie ona bardzo duża i wspólna dla wszystkich dzieci ze szkoły. Przy choince na pewno dostaniemy jakieś upominki, a później zrobimy sobie zabawę. Podobnie spędzą święta, Nowy Rok wszystkie dzieci u nas. Bo dzieciom w Polsce jest dobrze: mogą spokojnie uczyć się i pracować. Nasze miasta, zniszczone w czasie wojny, są już prawie odbudowane.

Wojny nie chcemy nigdy Wiemy jednak, że Amerykanie chcą prowadzić nową wojnę. I Waszą Ojczyznę uważają za swoją. Wiemy, że budują u Was nowe fabryki, które produkują broń i bomby, że prześladują odważnych i uczciwych ludzi, którzy kochają pokój. Ja wiem, że życie Wasze jest ciężkie. Niedawno w naszej gazecie czytałam, że szkoły Wasze zamienione są na koszary. Rozumiem teraz, że Nowy Rok spędzicie inaczej, niż my. Może niejedno z Was będzie głodne.

Posyłam Wam gorące pozdrowienia i życzenia. Bardzo bym chciała, żeby w przyszłym roku i Wam było dobrze. Pamiętajcie, że polskie dzieci są zawsze z Wami. My nie chcemy wojny i wierzymy, że jej nigdy nie będzie. Jeszcze raz w imieniu wszystkich dzieci naszej szkoły życzę Wam lepszego jutra.

Hala Kuźnicka, kl. VII
Chwaliszew

W ANGLII

Żeby nie płakały dzieci

Mały chłopczyk angielski John Makson napisał do II Kongresu Pokoju list: Pierwszy rok chodzę do szkoły. Niedawno nauczyłem się czytać i pisać. Nie chcę, żeby dzieci jeszcze raz ewakuowano z miasta. Nie chcę, żeby znów poszedł na wojnę mój tatuś i bracia. Wiem, że bomba atomowa może zabić wielu ludzi, a ja nie chcę, żeby dzieci płakały.

W ZSRR

Każdy człowiek będzie nam bratem

Pionierzy radzieccy często rozmawiają na zbiórkach o swoich rówieśnikach w innych krajach. Chcą, żeby dzieci na całym świecie były tak szczęśliwe, jak w ich Ojczyźnie. Oto wierszyk, który przysłała do swojej gazety pionierka Tola Szelibowa z Czelabińska:

Chcemy pokoju! Niechaj po świecie
popłyną pieśni szczęściem dźwięczące.
Niech każdy człowiek będzie nam bratem,
Wszyscy dorośli, dzieci tysiące.

WE FRANCJI

Niech moja Francja będzie wolna

Podczas okropnego bombardowania 6 marca 1944 roku miałam 4 lata. Dom nasz został zupełnie zburzony. Razem ze starszą siostrą i z mamą, która nas tuliła do siebie, zostałyśmy zagrzebane w gruzach. Gdy ojciec i sąsiedzi odkopali nas, Marie już nie żyła. Iluż to ludzi nacierpiało się wówczas. Kiedy o tym myślę, chciałabym wołać z całych sił: „Niech więcej nigdy nie będzie wojny. Niech moja piękna Francja, którą kocham, będzie wolna od cudzoziemskich najeźdźców, których pełno jest teraz w naszym kraju".

Pieretta Leché

WE WŁOSZECH

Ta broń — to wojna

Jedenastoletni Włoch Gioseppe wysłał list do dokerów portu Genui. Gioseppe pisze:

„Mój ojciec też jest dokerem. Teraz u nas jest strajk. Ja i moja siostra obiecaliśmy ojcu, że nie będziemy upominać się o chleb, ani płakać, nawet wtedy, gdy będziemy bardzo głodni. Oboje prosimy Was, nie wyładowujcie i Wy broni ze statków amerykańskich. Ta broń — to wojna. Niech statki odpłyną z powrotem, niech broń pokryje się rdzą. Nikt z nas, ani ja, ani siostra, ani matka — nie chce wojny. My wszyscy chcemy pokoju, pokoju, pokoju!

W fabryce sztucznych nici

Popatrzcie — kładę przed wami bryłkę węgla kamiennego i stylonowe pończochy. Węgiel wydobyli w kopalniach Śląska nasi górnicy, pończochy utkały łódzkie tkaczki. Trudno jest uwierzyć w pierwszym momencie, że te cieniutkie, lśniące pończochy mają tak dużo wspólnego z szorstką i czarną bryłką węgla. A jednak...

Długa i trudna była pierwsza droga od twardego węgla do jedwabistych pończoch.

KIERUNEK GORZÓW

W 1945 roku były tu tylko smutne resztki dawnej fabryki. Dzisiaj stoją wielkie Zakłady Włókna Sztucznego. Pracę nad odbudową fabryki rozpoczęto tuż po wyzwoleniu. Już wtedy robotnicy i inżynierowie postanowili, że za parę lat ruszy w tym miejscu nowa fabryka nie wyrabianego do tej pory w Polsce sztucznego włókna.

— Nie znaliśmy sposobu otrzymywania sztucznego włókna. Nie znaliśmy potrzebnych wzorów chemicznych — mówi naczelny inżynier Zakładów — Bogdan Brodowski. — Musieliśmy wszystko zaczynać od początku, od podstaw. Kiedy wreszcie doszliśmy do tego, jak z kawałka węgla wyprodukować przędzę, trzeba było pomyśleć o maszynach, o ich zaprojektowaniu i wykonaniu. A przecież, tak jak nie mieliśmy chemicznych wzorów na włókno, nie mieliśmy też żadnych wzorów maszyn. I znów praca od początku!

7 lipca 1951 roku, dzięki wysiłkom setek ludzi — Gorzów ruszył.

CZARODZIEJSKA CHEMIA

Windą wjeżdżam na piąte piętro jednego z budynków produkcyjnych. Tu rozpoczyna się historia sztucznego włókna. A właściwie nie tutaj! Rozpoczyna się ona już w innej fabryce gdzie za pomocą suchej destylacji otrzymujemy z węgla fenol. Jest to jeden ze składników węgla, który daje się skroplić i zastyga w kształcie przezroczystych kryształków. Fenol stamtąd jedzie prosto do Gorzowa. Jest on głównym surowcem do produkcji sztucznego włókna. Tutaj w Gorzowie, w owym pięciopiętrowym budynku, przechodzi przez szereg procesów chemicznych. Schodzi jakby po schodach z piętra na piętro przez różne piece, kotły i rury, pod coraz to inną postacią: raz pary, gdzie indziej cieczy, a jeszcze w innym miejscu pod postacią masy krystalicznej, by wreszcie zamienić się w tzw. masę polimerową. Masa ta przepuszczona przez odpowiednie maszyny zastyga w kształcie długiego pasa. Widzieliście pewnie nieraz paski z plastyku — kremowe, nieprzezroczyste. Tak właśnie wygląda ten pas polimeru, tylko że jest grubszy, no i o wiele szerszy. Z tego właśnie polimeru, po odpowiednich jeszcze przygotowaniach robi się nitki polimerowe, czyli surowe włókno sztuczne.

Praca w dziale chemii jest bardzo odpowiedzialna. Najmniejsze nawet niedopatrzenie może wywołać uszkodzenie delikatnej aparatury. Wacław Talarowski uważnie reguluje ciepłotę pieca. Jest zmianowym i w tej chwili nie należy to wcale do jego obowiązków. Ale zastępuje chorą koleżankę ze swojej zmiany. Piec przecież nie może zostać bez obsługi.

— Nie zdarzyły mi się jeszcze nigdy żadne uszkodzenia — mówi ze spokojem, który tu cechuje wielu ludzi. — Znam i lubię swoją pracę, tak samo jak znam i lubię ludzi, za których odpowiadam. Z ludźmi trzeba umieć żyć. Muszą widzieć, że się im ufa — wtedy nie zawiodą.

I rzeczywiście. Czarodziejska chemia w rękach robotników daje ponadplanową produkcję.

TAJEMNICA ODBIERALKI

Przy odbieralce trzeba ciągle uważać, czy nie zalewa przędzy większą strugą masy, czy przędza jest równa, czy ma właściwy kolor. Bo odbieralka może mieć czasem swoje kaprysy — mówi Krysia Albekier. Pracuje ona w Gorzowie od chwili rozpoczęcia produkcji. Przyjechała tutaj ze Szkoły Przysposobienia Przemysłowego już jako fachowiec.

Rzeczywiście, odbieralka może mieć różne kaprysy, ale na szczęście jest zależna od ludzi. Ta długa i wysoka maszyna zajmuje prawie całą szerokość hali. Jest ona jedną z najważniejszych maszyn w dziale włókienniczym. „Połyka" roztopioną masę polimerową i przepuszcza ją przez szereg metalowych krążków, zaopatrzonych w 12 otworków. Masa przechodząc przez te otworki zastyga w 12 cieniutkich nitek. Odbieralka zwija posłusznie te nitki na jedną szpulę. A takich szpul jest bardzo wiele, tyle, ile krążków przepuszczających masę polimerową. Otrzymane w ten sposób włókno nie nadaje się jeszcze do tkania. Musi przejść jeszcze przez rozciąganie, skręcanie i kąpiel.

Kiedy przechodzimy koło odbieralki, inżynier Brodowski uśmiecha się.

— Prawda jaka ładna? Zrobiliśmy ją sami — to nasza wielka chluba!

Dziewczęta pracujące na odbieralce nie zapomniały o tym. Dbają o swoją maszynę. Krysia Albekier, podając na pożegnanie zawalaną smarami rękę, tłumaczy się:

— Przepraszam, że brudna, ale my nie tylko z niemi mamy do czynienia. Czasem maszynę też trzeba oczyścić!

KROKI W PRZYSZŁOŚĆ

Gorzowskie Zakłady mają przed sobą wielką przyszłość. Będą się coraz bardziej rozbudowywać, szkolić swych pracowników, zwiększać i ulepszać produkcję. Polimerowe włókno, to nie tylko przędza na pończochy, ale i na pasy transmisyjne, na sita młyńskie, tkaniny filtracyjne. Z polimeru można wyrabiać masę izolacyjną, kwasoodporną, grzebienie, guziki. Jeszcze w tej chwili wykorzystanie polimeru poza pończochami, nie jest zbyt szerokie, ale wielka przyszłość stoi otworem przed ludźmi Gorzowa i ich fabryką.

JOANNA DĄBROWSKA

Naokoło świata

SŁOŃCE SPAWA METALE

LABORATORIUM heliotechniczne". Dziwnie i trochę niezwykle brzmi ta nazwa. Ale też i niezwykłe rzeczy bada się w tym laboratorium i buduje niezwykłe przyrządy. Bo któż pomyślałby jeszcze kilka lat temu, że przy pomocy słońca będzie można... spawać rury albo gotować obiad.

Uczeni, pracujący w laboratorium heliotechnicznym Instytutu Energetyki Akademii Nauk ZSRR, poświęcili się właśnie pracy nad praktycznym wykorzystaniem energii słonecznej. Zbudowali aparat, który skupia promienie słoneczne i wytwarza niezwykle wysoką temperaturę — 3000° C. Aparat ten jest wykorzystywany przy spawaniu metali. Inne urządzenie przeznaczone jest do gotowania wody lub pożywienia. Zastępuje ono z powodzeniem duży piecyk elektryczny.

W laboratorium powstają coraz nowe aparaty. Energia słoneczna znajdzie zastosowanie w radzieckim przemyśle, medycynie i rolnictwie.

„ZAPADŁA WIEŚ"

JUŻ Z DALEKA bieleją mury nowych budynków.

— Te domy mieszkalne zostały wybudowane po wojnie?

— Tak.

— A kino, klub, biblioteka, szkoła?

— Naturalnie, że też po wojnie!

Przed wojną w Wiletinie (Białoruska SRR), wsi oddalonej od ruchliwych dróg i większych miast, jak i w innych wsiach poleskich, stały nędzne chałupy. Chłopi nosili łapcie z łyka, oświetlali izby kopcącymi lampkami. Dziś w każdym domu jest światło elektryczne i radio, wieś posiada własne stałe kino. Kołchoźnicy żyją dostatnio. Jesienią założyli w Wiletinie park, zbudowali stadion sportowy.

Dzięki trosce władzy radzieckiej wsie poleskie zmieniły się nie do poznania. Dobrobyt ich stale wzrasta. W roku bieżącym kołchozy Polesia wydały na budowę kin, świetlic, bibliotek, szpitali wiejskich o 4 miliony rubli więcej, niż w ubiegłym.

GOŚCILIŚMY GORNIKA

Niedawno odbyła się u nas ciekawa zbiórka harcerska. Zaprosiliśmy na nią przodownika pracy ob. Bernarda Finela. Jest to górnik, który w pracy stara się dorównać Markiewce.

Przodownik ten opowiadał nam o wydobywaniu węgla w kopalni, o warunkach pracy górnika, o tym, jak on pracował, by zostać przodownikiem. Pokazał nam też wszystkie swoje odznaczenia, opowiadał, kiedy je dostał i za co.

Po zbiórce postanowiliśmy, że będziemy się uczyć jeszcze lepiej, że będziemy takimi w nauce, jak Bernard Finel w kopalni węgla.

Staszek Strzelec
Stanin, pow. Łuków

NA WYSTAWIE PLASTYKI

„Gościmy dzieci koreańskie" — taki tytuł nosi obraz Heleny Cygańskiej-Walickiej.

Na III-ciej Ogólnopolskiej Wystawie Plastyków, otwartej w Warszawie, jest bardzo wiele dzieł pokazujących nasze twórcze, pokojowe życie. Są więc tam przedstawione w obrazie, rzeźbie, czy rysunku postacie naszych przodowników pracy, uczonych, artystów, postacie bojowników o wolność i pokój we wszystkich krajach. Na płótnie można zobaczyć nowe, rosnące wsie polskie, fabryki, nasze porty, pola i lasy.

Czy wiecie, że...

Francuskie wojska kolonialne w Vietnamie urządzają obławy na dzieci. Ostatnio w prowincjach Thuanthien i Phuhai odbyły się dwie wielkie łapanki. Żołdacy francuscy utworzyli oddział ze schwytanych dzieci i wysłali go na pierwszą linię frontu. Dzieci były nędzone w czasie ataku przed wojskiem francuskim. Stanowiły „żywą ochronę" przed kulami. Wiadomość o tej zbrodni podała Vietnamska Agencja Informacyjna na podstawie zeznań oficera francuskich wojsk kolonialnych, Chatina.

Amerykanie nie dają się Francuzom prześcignąć w bestialstwach. Niedawno w Korei, w gminie Jenfun, powiat Hwandżu, prowincja Hwanko, rozwydrzeni żołdacy powrzucali do wrzącej wody dzieci w wieku od 3 do 12 lat.

Imperialistyczni zbrodniarze nie różnią się od hitlerowców okrucieństwem i zezwierzęceniem. Ich bestialskie czyny budzą nienawiść i oburzenie wszystkich uczciwych ludzi świata.

O CZYM Franek ZAPOMNIAŁ

Uwaga, Czytelnicy! Urządzamy dziś na stronicach naszej gazety pierwszą korespondencyjną zbiórkę uczestników naszego konkursu, którzy przysłali nam najlepsze odpowiedzi na drugi obrazek.

Co dzień, gdy wybije godzina ósma, zaczynają się lekcje we wszystkich szkołach. I wtedy dopiero wpada do klasy zdyszany chłopiec. Znacie go z obrazka. Dziś, na naszej zbiórce pomówimy o tym „O czym zapomniał nasz Franek" — i o czym zapomina jeszcze często wiele innych dzieci.

Jako pierwszy zabiera głos Tadek Żak z Kolonóg, pow. Będzin:

— Punkt pierwszy regulaminu uczniowskiego mówi, żeby nie spóźni é się do szkoły i nie opuszczać zajęc lekcyjnych. Franek jednak punktu tego nie przestrzega i dlatego nigdy nie może zdążyć na lekcje. W naszej klasie czwartej również jest chłopiec, który nazywa się Franek. Ale "nasz Franek„ jest zupełnie inny, nie opuścił ani jednego dnia i nigdy się nie spóźnił. Za to wyróżniony został w poniedziałek na apelu.

Po Tadku udzielamy głosu Ewie Karczewskiej z Sandomierza:

— W naszej klasie, niestety, dużo jest jeszcze takich „Franków" jak ten na obrazku... Jeden z chłopców kilka razy uciekł do domu, bo nie umiał historii i bał się, że dostanie dwójkę. Pewnego razu zamiast zostać na matematyce poszedł sobie do miasta. Staraliśmy się wytłumaczyć mu, że takim postępowaniem szkodzi przede wszystkim sam sobie. Wydawało się nam, że niewiele sobie robił z naszych rad. Jednak od tego czasu nie opuścił jeszcze żadnej lekcji bez powodu. Niestety, wiele jeszcze koleżanek i kolegów spóźnia się na apel, a czasem nawet i na lekcję.

Ewie chce odpowiedzieć Jadzia Strzelczyk z Drzewocin:

— Na początku roku szkolnego i w naszej klasie byli spóźnialscy. Ale nasze ogniwo, w porozumieniu z wychowawczynią klasy, zaprowadziło listę, na której wpisujemy wszystkich spóźnionych. Teraz liczba spóźnień zmalała i dziś możemy się poszczycić dobrą punktualnością. Rozumiemy już, co to jest dyscyplina pracy.

(Konkurs szkolny)

Po Jadzi zabiera głos Ania Gąsiorek z Nysy:

— W naszej klasie nikt nie postępuje tak jak Franek, nikt się nie spóźnia. Za piętnaście ósma wszyscy są na miejscu, bo za

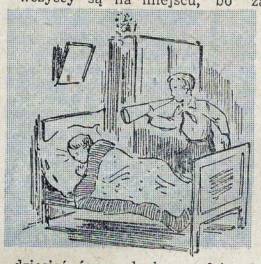

dziesięć ósma słuchamy dziennika radiowego. A choćby się czasem ktoś spóźnił, to nie wchodzi do klasy po cichu, tak jak Franek, wtedy, kiedy nauczycielka nie widzi. Mamy specjalny zeszyt i ten, kto się spóźni, musi się do niego wpisać. Zeszyt z uwagami wychowawców jest dawany rodzicom do przeczytania na wywiadówce; kto ma dużo uwag, ma obniżony stopień z zachowania. A nikt z nas tego nie chce, bo jakby to wyglądało, żebyśmy my, najstarsza klasa w szkole, dawali zły przykład młodszym kolegom.

A teraz udzielamy głosu Stefkowi Wiluszowi z Korczycy pow. Krosno. Słuchamy:

— Franek spóźniając się, przeszkadza kolegom w nauce. Przerywa też lekcję nauczycielce, która stara się, aby uczniowie jak najlepiej ją zrozumieli.

W naszej klasie, przez pewien czas, co dzień spóźniał się Tadek Piwowar. Okazało się, że nie odrabia zadań z arytmetyki, a arytmetykę mamy na pierwszej godzinie lekcyjnej każdego dnia. Zaczęliśmy mu pomagać i teraz przychodzi punktualnie. Wielu kolegów ma do szkoły po trzy, cztery, a nawet pięć kilometrów, ale wszyscy starają się przychodzić na czas.

Brawo, Stefku! To ważne wiedzieć, dlaczego spóźniają się koledzy do szkoły.

Jurek Olechno ma coś o tym do powiedzenia:

— Franek spóźniając się, tracił lekcję i przerywał naukę swoim kolegom. Gdyby u nas znalazł się taki Franek, to my byśmy sobie z nim poradzili. Jeden z kolegów zachodziłby po niego codziennie do domu i razem przychodziliby na czas do szkoły. Na pewno, gdyby go tak kilka razy przyprowadzono, sam by później dbał, aby się nie spóźniać.

Jurek ma rację:

O tym, jak dziewczęta klasy VI-A ze szkoły podstawowej nr. 1 w Łysicy poradziły sobie z koleżanką i jej niesfornymi włosami, dowiecie się z felietonu, który wkrótce wydrukujemy.

Posłuchajmy teraz, co nam opowie Geniek Kiełbaska z Grzyba, pow. Sieradz.

— Dużo moich kolegów i koleżanek spóźniało się na lekcje. Mogli oni przychodzić punktualnie na ósmą, ale nie przychodzili. My harcerze wiemy, że spóźnianie prowadzi do dwójek. Dlatego poprosiliśmy przewodnika naszej drużyny harcerskiej, aby porozmawiał z tymi, którzy się spóźniają.

Nasz wspólny wysiłek nie poszedł na marne. Spóźnialscy zaczęli przychodzić punktualnie i teraz są przygotowani do każdej lekcji. Chciałbym, aby wszyscy uczniowie pamiętali o tym, że:

— Kto przestrzega uczniowskiego prawa,

Temu na świadectwie piątki biją brawa.

O tym, jak sobie harcerze radzą ze spóźnialskimi, chce nam także opowiedzieć Irka Oniszczuk z Komorówki Podlaskiej:

— U nas w klasie siódmej zaprowadziliśmy „kontrolę spóźnień", to znaczy kartę, na której wpisujemy codziennie tych, którzy spóźniają się na lekcję. Karta ta wisi w świetlicy i wszystkie dzieci potem ją czytają. To nam pomaga, bo spóźnialskich jest coraz mniej.

— A teraz uwaga! — Na zakończenie naszej zbiórki niespodzianka! Posłuchajmy wierszyka, który przysłała nam Hanka Bujakiewicz z Piasków (pow. Nowy Tomyśl):

Oj, niedobrze jest się spóźniać!
Lepiej rano wcześniej wstać,
Honor klasy mam poniżać
I dwójeczki potem brać?

Gdy się u nas znajdzie taki,
Co się spóźnia w każdy dzień,
Postaram się wytłumaczyć,
Że szkodnikiem taki leń!

Myślimy, że za przykładem Hani pójdą wszyscy uczestnicy naszej dzisiejszej zbiórki!

Czuwaj!
REDAKCJA

Na pamiątkę pierwszej korespondencyjnej zbiórki nagrody książkowe otrzymują wszyscy uczestnicy oraz Staszek Gaś ze szkoły podstawowej nr 1 w Witaszynie.

— U nas w IV klasie jest chłopiec, który nazywa się Staszek Żygilcki i tak jak Franek spóźnia się do szkoły. Spi długo, a w drodze do szkoły obchodzą go wszystkie drzewa, słupy i ptaki. (Z listów uczniów kl. IV, szk. podst. w Pacanowie, pow. Busko Zdrój).

STASZEK: Prędzej jedz, bo przez ciebie stale się spóźniam.
PTASZEK: Co z tego? Ja nie chodzę do szkoły i żyję.

PEWNEGO RAZU NA ULICY...

— Jedziemy! — krzyknął Piotruś i sanki z całą gromadką dzieci szybko pomknęły w dół ulicy. Wiatr dął wprost w płonące policzki dzieci. Wszystkim było bardzo wesoło. Wikcia, siedząc z przodu, nagle zauważyła, że ulicą przechodzi kobieta prowadząc za rękę małego chłopczyka. Sanki pędziły wprost na nią.

— Piotruś! Hamuj! — krzyknęła Wikcia; lecz już było za późno. Sanki całym pędem wpadły na kobietę przewracając ją. Ujechawszy jeszcze kilka metrów zatrzymały się. Dzieci zobaczyły, że kobieta z trudem stara się podnieść, chłopczyk zaś wytęża wszystkie swoje siły, by jej w tym dopomóc.

— Biegnijmy szybko, pomożemy! — krzyknęła Wikcia i chciała ruszyć pędem w kierunku kobiety, lecz Piotruś chwycił ją za rękaw.

— Co robisz? Czy chcesz, żeby ona nas odesłała na milicję?

— Na milicję? Wywróciliśmy więc trzeba jej jak najszybciej pomóc.

— Idź, idź! — wmieszał się do rozmowy Janek. — Nawymyśla ci tylko jak należy i jeszcze na dodatek poskarży twojej mamie.

— Ach, wy, tchórze! Sami narobiliście biedy, a pomóc się boicie! I to harcerze...

Wikcia wyrwała się i pobiegła w kierunku kobiety.

— Proszę pani... Czy pani się mocno potłukła? Ja pomogę.

Schwyciła kobietę pod rękę i pomogła jej wstać.

— Nic, nic, już pójdę sama. Mam niedaleko.

— Ach, nie, ja panią odprowadzę. Bardzo przepraszam... my niechcący. Rozpędziliśmy się... nie mogliśmy zahamować sanek.

Kobieta zatrzymała się koło domu z czerwonej cegły. Ostrożnie uwolniwszy swoją rękę spod ręki Wikci, powiedziała:

— Jesteśmy na miejscu. Dziękuję ci.

Wspinając się pod górkę Wikcia usłyszała jak chłopcy głośno się o coś spierają.

— No, i jak tam? Nawymyślała ci? — posypały się pytania.

— Nie. Podziękowała mi za to, że ją odprowadziłam.

— A, wy, czemu już nie jeździcie?

— Nie mamy ochoty — odpowiedział Piotruś.

Dzieci stały jeszcze przez chwilę na górce i wkrótce rozbiegły się do domów.

Nikt już nie miał ochoty dłużej jeździć na sankach.

wg „Pionierskiej Prawdy"

— Może im przygotować wesołą sztuczkę noworoczną?

— A może ciekawą grę?

Czy domyślacie się, o czym tak rozmawiają Nowy Rok z Dziadkiem Mrozem? O świątecznej niespodziance, którą szykują dla Was w podwójnym numerze „Świata Młodych", który otrzymacie już za tydzień...

Mecz hokejowy

Pada suchy śnieg. Leżące w środku wsi Chociszew jeziorko pokryte jest taflą lodu. Panuje cisza. Nagle... jeziorko ożywia się gwarem głosów. Po zaśnieżonym lodzie pędzą dwaj chłopcy.

To Józek Pękala i Rysiek Śmigielski, znani w drużynie sportowcy i dobrzy uczniowie. Kiedy rada drużyny postanowiła zorganizować w czasie ferii zimowych mecz hokejowy na lodzie, chłopcy od razu zaczęli trenować.

W meczu tym wezmą również udział harcerze z pobliskiej szkoły w Rogozińcu. Już drużyny umówiły termin. Teraz tylko z niecierpliwością czekają na rozpoczęcie ferii. Widzowie będą, na pewno przyjdzie cała wieś. Sędziami mają być zetempowcy, którzy na prośbę harcerzy chętnie zgodzili się im pomóc.

— Teraz czeka nas jeszcze parę treningów, musimy przygotować kije hokejowe (własnej roboty) i krążki, no i czekać na ferie — myślą harcerze z Chociszewa.

A do ferii niedaleko.

*

Ale to jeszcze nie wszystko, co przygotowują harcerze na okres ferii. Na zebraniu rady drużyny postanowili także zrobić na Nowy Rok niespodziankę dzieciom z wiejskiego przedszkola. Już teraz przynoszą dziewczęta z domów niepotrzebne gałganki, wstążki i kolorowe nici. Chłopcy zbierają wzory zabawek z drzewa na choinkę noworoczną.

Kiedy praca będzie skończona, radośnie zabłysną oczy przedszkolakom. Harcerki i harcerze wręczą im piękne lalki w ludowych strojach i wiele innych zabawek.

„Ptasie domki"

Na wysokiej, okrytej śniegiem jabłoni, pośród gałęzi wisi mały drewniany domek. Ma nawet drzwi i okna. Przed domkiem usiadł na gałązce wróbel, chwilę rozglądał się wokoło, a potem wskoczył przez okno do środka. Za nim przyleciał drugi i trzeci. Każdy z nich wskoczył do domku, ale zawsze innym wejściem. Zajrzyjmy do środka. W domku mieszkają 3 wróble rodziny. Żeby nie było kłótni o wielkość „pokoi", rozsądne wróble zbudowały ścianki i teraz domek ma trzy pokoje, każdy z osobnym wejściem.

Ten domek zbudowali ptakom harcerze z Chociszewa. Ale nie tylko ten, w szkolnym ogródku wisi na drzewach 18 różnych domków, a przed oknami klas stoi 6 karmików. Harcerze nie zapomnieli o swoich skrzydlatych przyjaciołach. Ptaki chętnie skorzystały z pomocy dzieci i dziś każdy domek jest zamieszkany przez szczyglą lub wróblą rodzinę. Bywały nieraz ptasie kłótnie o domki, ale teraz jest spokój — nastąpiło porozumienie.

Zimą, kiedy śnieg zasypie pola, trudno coś zdobyć do jedzenia. Ale i o tym nie zapomnieli harcerze. Jeszcze jesienią drużyna zbierała nasiona chwastów, część dali spółdzielcy po oczyszczeniu zboża. I teraz w specjalnym magazynku leży pożywienie dla przyjaciół — 80 kg smacznych nasion chwastów. Codziennie rano wybrani dyżurni sypią jedzenie do karmików, pełnych radosnego i wdzięcznego świergotu. Ptaki są spokojne o zimę. Kiedy przyjdą dni ferii, harcerze, tak jak zawsze, będą karmili i opiekowali się swoimi skrzydlatymi przyjaciółmi.

(pr)

„...W naszej szkole jest taki uczeń, który psuje nam opinię. Gdy go nauczyciel pyta, nigdy nic nie umie. Ma 9 dwój. Przyczyną tego są gołębie, które stale gania".
(z korespondencji Franka Lendziona ze Stanina, pow. Lublin)

Jak dostanę jeszcze jedną dwójkę, to będę miał ich tyle, co gołębi.

Stajemy do konkursu czytelniczego

KSIĄŻKA NASZYM PRZYJACIELEM

Uwaga, uczestnicy Konkursu Czytelniczego! Odpowiadamy dziś wszystkim, którzy pytali nas o to, jak zrobić katalog ilustrowany.

Pracę zaczynamy od dobrania z biblioteki książek na jeden temat. Mogą to być na przykład książki o życiu dzieci w różnych krajach, o Rewolucji Październikowej, o wojsku, o lesie itp. Do każdej z nich dobieramy ilustrację. Może to być rysunek albo ilustracja z czasopisma. Na kolorowych kartkach katalogowych piszemy starannie nazwisko i imię autora, tytuł i sygnaturę lub numer inwentarza tak, jak w katalogu. Z boku umieszczamy ilustrację. Po drugiej stronie kartki wpisujemy uwagi o książce, króciutkie streszczenie lub wybrany fragment. Kartki układamy alfabetycznie według nazwisk autorów. Związujemy je mocno sznurkiem i katalog gotowy.

Rys. 1. Temat: las. Kartka tytułowa katalogu.

Rys. 2. Temat: las. Kartka wewnętrzna.

PRZYJACIELE KSIĄŻEK

TIMUR JEST NASZYM WZOREM

KSIĄŻKĘ „Timur i jego drużyna" czytaliśmy wspólnie całym zastępem. Wszystkim bardzo się podobała. Czasami trudno było przerwać czytanie. Rozmawialiśmy od razu o treści książki, o Timurze, o jego pożytecznych pracach. Timur stał się naszym przyjacielem. Zauważyliśmy, że u nas też są rodziny, którym przyda się pomoc harcerzy.

Postanowiliśmy zorganizować podobną drużynę. Zaopiekowaliśmy się dwiema staruszkami. Jedną z nich była wdowa Cebulska. Miała ona działkę z ziemniakami, które trudno jej było wykopać. Wybraliśmy się więc jednego popołudnia z całym ogniwem na pole staruszki, by wykonać za nią tę ciężką robotę. Praca poszła nam bardzo sprawnie. Potem często odwiedzaliśmy Cebulską w domu. W sobotę umyliśmy jej podłogę. Staruszka zaprzyjaźniła się z nami. My też polubiliśmy ją bardzo i nigdy jej nie opuścimy.

Na każdym kroku staramy się naśladować drużynę Timura. Pomagamy nie tylko rodzinom żołnierzy. Każdemu chętnie śpieszymy z pomocą. Marysia Maryszczak, idąc raz na zbiórkę, spotkała na ulicy staruszkę, która wiozła węgiel. Ciężko jej było podciągnąć wózek pod górę. Marysia podbiegła do niej i zaciągnęła wózek z węglem aż na podwórko.

Innym razem, wychodząc ze szkoły, zauważyliśmy kulawą kobietę, która niosła do piekarni ciasto na chleb. Blacha z ciastem była duża i ciężka. W drugiej ręce kobieta trzymała laskę, którą się podpierała. Co chwila musiała odpoczywać. Jadzia Tylka wzięła od niej ciasto i zaniosła do piekarni, a potem odniosła do domu upieczony chleb.

Chłopcy nasi też postępują jak prawdziwi timurowcy. Janek Trawka, Maniek Łuciow i Mietek Romanik wyręczyli niedawno starszą kobietę w pracy, zawożąc jej do domu ziemniaki.

Będziemy dalej prowadzić pracę timurowską.

Rada Zastępu kl. VII
szkoły nr 2 w Kietrzy, woj. Opole

CHCĘ BYĆ TAKI, JAK WOŁODIA

KIEDY przeczytałem w „Świecie Młodych" „Ankietę Czytelniczą", nie musiałem długo wybierać. Od razu stanął mi przed oczami Wołodia Dubinin, bo nie mogłem zapomnieć książki „Ulica młodszego syna".

Wołodia nie kłamał. Wolał znieść najcięższą karę, ale nigdy nie dopuścił się kłamstwa. Powiedział o sobie: „Gdy coś obiecałem, słowa dotrzymam. W przeciwnym razie nie obiecuję".

Słowa te utkwiły mi na zawsze w pamięci. Od czasu, gdy przeczytałem „Ulicę młodszego syna", zacząłem uczyć się od Wołodii. Nie zdarzyło mi się odtąd już nigdy, żebym nie dotrzymał obietnicy.

Wołodia miał wiele przygód, które rozegrały się właśnie dlatego, że był słowny. Tak zdarzyło się wtedy, kiedy dał przyjacielowi słowo, że dostarczy mu rtęć. Przyjaciel otrzymał rtęć, ale Wołodia musiał przedtem rzucić się w pokrzywy.

Wołodia nie był mściwy. Po sprzeczce ze swą przyjaciółką Swietłaną pierwszy podał rękę do zgody i powiedział: „Nie jestem mściwy, nie pamiętam złego".

Te i wiele innych słów i czynów prostych, szczerych nauczyły mnie brać przykład z pionierów radzieckich.

Z radosnego dzieciństwa Wołodia wpadł w wir wojny. Wraz z przyjacielem Wanią był w oddziale partyzanckim. Dzielny ten pionier z dnia na dzień, z godziny na godzinę hartował swą odwagę.

Jeszcze nigdy nie widziałem pioniera radzieckiego. Postaram się zasłużyć na to, by pojechać do ZSRR i przyjrzeć się życiu moich towarzyszy, którzy są dziś żywym przykładem dla nas — harcerzy.

Julian Pakułowicz
kl. VII Szkoła TPD nr 14
Warszawa

W katowickim Pałacu Młodzieży

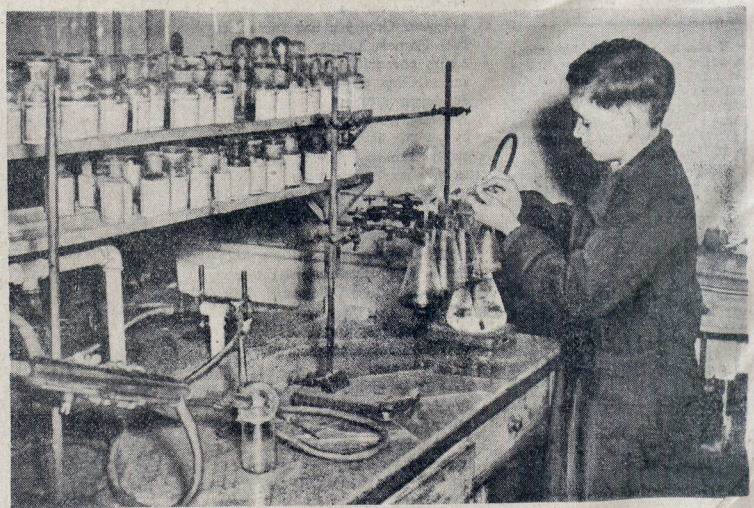

„Jeszcze kilka prób, a może odkryję nowy związek" — myśli jeden z uczestników pracowni chemicznej katowickiego Pałacu Młodzieży im. B. Bieruta.

SPOTKANIE PRZY MASZYNACH

— Zbiórka, zbiórka! — rozległo się po korytarzach. Z wielu stron śpieszyli harcerze.

Chociaż spotkały się dwa niepełne zastępy, bo wybrani zostali tylko najlepsi uczniowie klas siódmych — jednak wszyscy sprawnie ustawili się w równe rzędy.

— Kolejno odlicz! — padł rozkaz.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć — biegły wzdłuż dwuszeregu szybkie, urywane głosy.

— No, czas wyruszać, nie możemy się spóźnić — przypomniała wychowawczyni.

Ze szkoły TPD nr 1 w Elblągu do Zakładów Mechanicznych im. Gen. K. Świerczewskiego — droga niedaleka. Pomaszerowali szybko, bo każdy śpieszył zaspokoić swoją ciekawość, co też zobaczy i czego się dowie nowego. Już na placu fabrycznym zaskoczyła ich wielka ilość różnego żelastwa.

— Ojej, tyle złomu! — zdziwiła się Gerta.

Rzeczywiście, sterty były ogromne.

— Mój tatuś pracuje tutaj przy piecach, poproszę, aby nam pokazał, jak wygląda przetopiony złom — obiecywał Witek.

W fabryce

Po wejściu na hale produkcyjne wszyscy przystanęli zdumieni. Dziwne wrażenie, jakby ci nagle watą zatkano uszy. Ogromny ruch sunących, wirujących, skaczących mechanizmów, stukotanie, zgrzyty i inne dźwięki zakłócały rozmowę. Maszyny tętniły niezmordowaną pracą.

Z początku, dzieci nawet bawiło wołanie gromkim głosem. Ale prędko przyzwyczaiły się: stwierdziły, że z bliska można się normalnie porozumiewać.

Wycieczką zaopiekował się dyrektor naczelny zakładów, tow. Matuszczak.

Sam wszystko pokazywał, wyjaśniał, i tłumaczył.

— Patrzcie! „naczelny" prowadzi naszą przyszłą zmianę — uśmiechali się przyjaźnie robotnicy znad warsztatów.

— Jak się nazywa ten dźwig? — ile ta maszyna ma siły? — najwięcej pytań miał Romek Tyburski

Harcerzy najbardziej porywała nowoczesna technika.

— To jest dźwig suwakowy, kotwiczny — objaśniał troskliwy przewodnik, może on roznosić ciężary, gdzie tylko trzeba, po całej hali.

— Spójrzcie! — jak on się porusza — zawołali Witek i Marysia jednocześnie. Wszyscy skierowali wzrok ku pułapowi: nad głowami sunęło po bocznych szynach stalowe ramię potężnego dźwigu. Gruba lina, zakończona kotwicą z wiszącym na niej ciężarem, przesuwała się jednocześnie naprzód i w bok. Sprawiały to mechanizmy suwaków.

— Stop! kierowca wyłączył bieg. Wychylił się z oszklonej budki i zawołał:

— Ciekawe, prawda?

— Ale „mądre" maszyny! Kierować nimi to ci sztuka! — wykrzykiwał w stronę kolegów zachwycony Mietek Pić i chwalił się, że już w przyszłym roku będzie je poznawał w Technikum Metalowym.

— O, tatuś Witka — tam na górze! — wyrwało się nagle Ani.

Wszyscy wbiegli na żelazne schody. Wkrótce znaleźli się przy martenie. Ojciec Witka Rogali wręczył im ramkę z fioletowym szkłem, która powędrowała z rąk do rąk. Każdy przystawiał ją do oczu i przez małe okienko pieca patrzył na roztopioną lawę wrzącego metalu.

— Jak tu jest gorąco! — wołała Basia.

— Temperatura tysiąc osiemset stopni — objaśniał hutnik.

— Widzicie te półkoliste kloce? — zrobiono je ze złomu. Są to części stalowych pierścieni do umocnienia tunelu warszawskiego metra.

— I my budujemy także naszą nową, piękną stolicę — opowiadali z dumą robotnicy.

Przy warsztacie

Wracając tą samą drogą, podeszli do jednego z przodowników.

— Opowiedzcie nam coś o swoich osiągnięciach — prosili chłopcy Kazimierza Frankiewicza, przodującego zetempowca.

— Cóż! bardzo lubię swój zawód szlifierza. Dlatego pracuję — z całego serca. Wyrabiam 400 procent. No, i zarobek też mam niezły.

— Aż czterysta procent, jak wy to robicie? — Nie mogli pojąć harcerze.

— Zupełnie prosto. Jeżeli się przyłożysz do roboty — będą wyniki. To tak samo, jak w szkole: jeden się stara i ma piątki, drugi się leni i ma dwóje. A głową też trzeba nieraz porządnie ruszyć. Stale się uczymy w naszej brygadzie, aby coraz lepiej pracować.

— No, a jakie wy macie stopnie, na ile procent — zapytał z kolei.

Opowiedzieli mu krótko o swojej nauce i pracy w szkole, o tym, że oni też mają dobre wyniki.

— Ale, czy wszyscy? — to pytanie nie dawało im spokoju przez całą drogę powrotną.

ZDZISŁAW BILSKI

MIŁY GOŚĆ W NASZEJ SZKOLE

Było to jeszcze w październiku, na kilka tygodni przed wyborami do Sejmu. Dowiedzieliśmy się, że do naszego miasteczka przyjedzie kandydat na posła z naszego okręgu, minister rolnictwa Jan Dąb-Kociol.

W szkole zawrzało jak w ulu. Rozpoczęliśmy gorączkową pracę nad przygotowaniem części artystycznej, nad dekoracją klas i korytarzy. Krzysio Uniejewski był wciąż zmartwiony, że nie zdążymy wszystkiego zrobić. Praca jednak posuwała się szybko naprzód. Włodek Przybylski ze swoją grupą robił hasła na temat wyborów, dziewczynki z kl. VI redagowały gazetkę.

W świetlicy uczniowie klasy VII codziennie tańczyli mazura. Krok znali już wszyscy, ale najtrudniej było zapamiętać kolejność figur.

Tereska Rachut i Basia Rzeźnik nawet na przerwach powtarzały piosenki. Obie chciały się na ten występ przygotować jak najlepiej.

W niedzielę, zaraz po południu, wszyscy przyszliśmy do szkoły w czerwonych chustach i harcerskich mundurkach.

Ludzi zeszło się bardzo dużo.

W chwilę później przyjechał minister. Otoczyliśmy go kołem. Początkowo nasza rozmowa jakoś się nie kleiła. Byliśmy bardzo wzruszeni. Ale kiedy towarzysz Dąb-Kocioł zaczął nas pytać, co robimy w szkole, jakie mamy stopnie, rozgadaliśmy się na dobre. Tereska Rachut poprosiła, by powiedział nam coś o swoim życiu i pracy. Obywatel minister opowiedział nam o swoim dzieciństwie, o tym jak bardzo różniło się ono od naszego.

Później wybraliśmy się razem na przechadzkę. Każdy chciał o czymś opowiedzieć, pochwalić się swoją pracą. Kiedy wspomnieliśmy, że wybieramy się na wycieczkę do Warszawy, minister zaprosił nas do siebie. Bardzo się z tego ucieszyliśmy.

Zaraz po jego odjeździe zaczęliśmy przygotowania do wycieczki. Tydzień wydawał się rokiem, a dzień, w którym mieliśmy odjechać, najbardziej się dłużył. W dodatku autobusy nie przybyły na umówioną godzinę. Spóźniliśmy się i towarzysza ministra już nie zastaliśmy. Wyjechał w bardzo ważnej sprawie do Poznania. Ale pamiętał o nas; przygotowane już było śniadanie i czekali na nas przewodnicy.

Warszawę zwiedzaliśmy cały dzień. Byliśmy na placu Konstytucji, który bardzo podobał się wszystkim, na Trasie WZ, przy budowie Pałacu Kultury i Nauki i w ZOO. O swoich wrażeniach z wycieczki napisaliśmy kochanemu ministrowi.

(Opracowano na podstawie Koresp. Irki Klonowskiej i Krzyśka Uniejewskiego ze Siesina)

Co zmieniło się w naszej wsi

Czy przypominacie sobie 41 numer naszego pisma? Zamieściliśmy w nim projekt gazetki pt. „Jakie ważne zmiany zaszły w naszej wsi". Od tego czasu codziennie przychodziły do redakcji listy, w których dzieci pisały o tym, jak opracowywują swoją gazetkę. Również dostaliśmy kilka gotowych gazetek. Prawie wszystkie były b. ciekawe, ale najlepiej opracował swoją Geniek Pyszka z Ratajów Słupskich:

Geniek zbierał wiadomości o swojej wsi od sołtysa i od starszych ludzi w gromadzie. Chętnie także przysłuchiwał się zebraniom w okresie wyborów.

Oto co pisze nam Geniek o swojej wsi:

Rataje Słupskie to wioska, która w Planie 6-letnim z pewnością stanie się spółdzielnią produkcyjną. Przez wieś przeprowadzono przewody — założono światło. Prawie w każdym domu gra radio i pali się lampa elektryczna. W naszej szkole jest również radio i możemy słuchać audycji. W szkolnej bibliotece mamy kilkaset książek. Kiedy po skończonej pracy zbierają się czytelnicy, chcąc poczytać książki lub dowiedzieć się nowych wiadomości — w szkole jest ludno i gwarno. W niektórych gospodarstwach u nas są używane traktory, zastępujące konie. W całej wiosce w czasie żniw posługiwano się żniwiarkami, snopowiązałkami, grabiarkami i innymi maszynami. Chłopi w naszej wsi chcą przystąpić do wspólnej i zbiorowej pracy, bo wiedzą, że taka praca da im większe dochody. Toteż w Planie 6-letnim i nasza gromada będzie spółdzielnią produkcyjną.

Eugeniusz Pyszka kl. VII
Rataje Słupskie, pow. Busko-Zdrój

O CZYM MOWIĄ RYSUNKI Z GAZETKI GEŃKA

LUDZIE Z NASZEJ WSI

Maria Kosatka — nauczycielka,
Henryk Niedolaz — nauczyciel,
Wacław Wybraniec — nauczyciel,
Jan Dupońka — oficer,
Bolesław Kwiatek — studiuje na wyższej uczelni.
Marian Pikul — na wyższej uczelni.
Leokadia Czaplak — dentystka,
Stanisław Korda — przewodniczący GRN.
Leon Juszczyk — podoficer

HISTORIA 12 MIESIĘCY

Wisi u ciebie na ścianie kalendarz. Czy znasz jego historię? Czy wiesz, skąd się wzięło słowo „kalendarz"? Czy zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego rok składa się właśnie z 12 miesięcy?

Ciekawa to i długa historia.

SKĄD SIĘ WZIĘŁO SŁOWO „KALENDARZ"

W starożytności wiele ludów liczyło czas — a więc lata, miesiące — według księżyca. Miesiąc ludzi starożytnych zaczynał się wtedy, gdy na niebie pojawiał się cienki księżycowy sierp. Kapłani ogłaszali wtedy uroczyście w swoich świątyniach rozpoczęcie nowego miesiąca. Rzymianie pierwsze dni miesiąca nazywali „kalendami". W naszym języku słowo to oznacza „dni obwieszczenia", „dni ogłoszenia".

I właśnie od tego łacińskiego słowa pochodzi nazwa twojego kalendarza — „książki ogłaszającej rozpoczęcie tygodnia, miesiąca, roku..."

NOWY ROK W LIPCU

Kalendarz księżycowy do tej pory obowiązuje u mahometan (w Turcji). Droga księżyca dokoła kuli ziemskiej trwa 29,5 doby. W przybliżeniu tyle właśnie trwa księżycowy miesiąc. Rok, według obliczeń mahometan, składa się z

dwunastu miesięcy i ciągnie się przez 354 dni. I dlatego właśnie zaczyna się u nich w różnych porach: czasem zimą, czasem wiosną, a czasem nawet ...w lipcu.

DZIESIĘĆ CZY DWANAŚCIE?

Kapłani starożytnego Egiptu po bardzo długich, żmudnych obliczeniach ustalili, że rok ma 365 dni. Zgodnie z ruchem księżyca podzielili go na 12 miesięcy — po 30 dni. Pozostałe pięć dni liczono oddzielnie.

Rzymianie przez długi czas dzielili rok na dziesięć miesięcy, które były krótsze od egipskich. Kiedy jednak system ten okazał się niewygodny, dodali oni jeszcze dwa miesiące. Mimo to brakowało jeszcze kilkunastu dni. Dla wyrównania roku kalendarzowego z obiegiem ziemi wokół słońca, wprowadzono trzynasty miesiąc, który wstawiano co drugi rok.

System kalendarza, który obowiązuje u nas obecnie, ustalony został przez cesarza rzymskiego Juliusza Cezara w roku 44 przed naszą erą.

TAJEMNICA ROKU PRZESTĘPNEGO

Kalendarz słoneczny wprowadzono znacznie później, niż księżycowy. Okazał się on bardziej wygodny, między innymi dlatego, że był związany z porami roku. Wiosna i lato, jesień i zima przypadają teraz zawsze na te same miesiące.

Rok słoneczny trwa 365 dni, 5 godzin, 48 minut, 16 sekund. W tym czasie ziemia odbywa pełną swoją wędrówkę wokół słońca. Dla równego rachunku twórcy kalendarza odrzucili

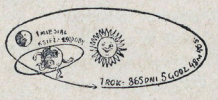

„zbyteczne" godziny, minuty i sekundy. Co cztery lata z tych „niepotrzebnych" godzin, minut i sekund powstaje cała doba.

Zwykle rok ma 365 dni, natomiast każdy co czwarty rok, (ten, którego liczba dzieli się przez cztery), otrzymuje „dokładkę" w postaci trzysta sześćdziesiątego szóstego dnia. Taki rok nazywamy przestępnym.

Jeśli rok kończy się dwoma zerami, wtedy obowiązuje inne prawidło: rok jest przestępny, jeśli jego liczba jest podzielna przez 400. A więc rok 1900 był rokiem zwykłym, zaś rok 2000 będzie przestępny. Jaki będzie nowy rok — 1953, potraficie odpowiedzieć sami.

Trzy termometry

Antek był zapalonym fizykiem. Lubił robić przeróżne doświadczenia. Pewnego dnia postanowił przekonać się, jaka jest naprawdę temperatura wrzenia wody. Do garnka stojącego na kuchni włożył aż trzy termometry. Kiedy woda w garnku zaczęła bulgotać, Antek wyjął ostrożnie pierwszy termometr. Spojrzał na słupek rtęci — wskazywał 80°.

— Cóż to, czyżby woda była jeszcze niezupełnie wrząca?

Poczekał kilka minut. Teraz wyjął drugi termometr.

W garnku musiały dziać się jakieś tajemnicze zmiany — rtęć drugiego termometru doszła do 212°. Trzeci wskazywał równo 100°.

— To chyba niemożliwe. Dwa termometry są na pewno zepsute — zmartwił się Antek i począł się przyglądać trzem leżącym obok siebie szklanym rurkom z rtęcią. Rzeczywiście, każda wskazywała co innego.

— Ale, co to? Na każdym termometrze jest inna literka. Na

pierwszym — R, na drugim — F, a na trzecim — C. Co one oznaczają?

Antek zaczął szukać wyjaśnień w książkach. A oto, co przeczytał:

Literki R, C i F pochodzą od nazwisk trzech wynalazców termometru — Francuza Reaumura, Szweda Celsjusza i gdańszczanina Fahrenheita. Każdy z nich inaczej oznaczył stałe punkty termometru.

Zero u Fahrenheita oznacza temperaturę mieszaniny lodu, wody i salmiaku, u Celsjusza i Reaumura zaś temperaturę topiącego się lodu. Temperaturę wrzenia wody pierwszy uczony oznaczył liczbą 212°, drugi Celsjusz — liczbą 100°, trzeci zaś — Reaumur, 80°.

A więc wszystkie trzy termometry były dobre, tylko każdy z nich miał inną podziałkę.

Nie zdziwcie się więc, jeśli według termometru Fahrenheita dziecie mieli gorączkę aż 92°, zaś według Reaumura 29,3°. Termometr Celsjusza wykaże wtedy 36,6°.

Pamiętajcie jednak zawsze o trzech tajemniczych literach — F, R i C.

DOMY Z LODU

Na przedmieściu Moskwy stoi niezwykła budowla. Nie ma okien, kominów. Grube, dwumetrowe ściany i strop zbudowane są z lodu.

Pewnego zimowego dnia rozpoczęto budowę ogromnej szopy z desek. W ciągu następnych dni, korzystając z silnych mrozów, oblewano ją strumieniami wody. Na ścianach szopy utworzyła się bardzo gruba pokrywa lodu. Aby zabezpieczyć ją przed topnieniem w czasie lipcowych upałów, okryto lód warstwą żużlu zmieszanego z opiłkami żelaznymi i mchem. Wtedy deski usunięto i lodowa budowla była gotowa.

W lodowym domu mieści się chłodnia. Latem, kiedy panują silne upały, temperatura w chłodni wynosi około 0 st. C. Przechowuje się tu ryby, mięso, masło. Zimą natomiast w lodowej chłodni jest cieplej niż na powietrzu — mróz dochodzi tu tylko do —2° C. W tej temperaturze doskonale „czują się" ziemniaki, owoce, warzywa. Chłodnia jest więc użytkowaną przez cały rok.

Budowniczy chłodni, radziecki inżynier M. Kryłow, otrzymał w 1950 r. nagrodę Stalinowską.

WZORY na SZYBACH

Mróz maluje na szybach piękne wzory: przeróżne kwiaty, liście paproci lub srebrzyste małe palemki. Jak to się dzieje, że w mroźne dni szyby pokrywają się wzorami, a nie równą warstewką lodu?

Między szybami powietrze jest cieplejsze niż na ulicy. A w ciepłym powietrzu znajduje się więcej wilgoci niż w chłodnym. Kiedy ciepłe powietrze zetknie się z silnie oziębioną szybą, powstaje para, która zamarza na niej, tworząc różne wzory.

Tafla szyby tylko pozornie wydaje się równa. Przebiega bowiem po niej wiele maleńkich rowków. Kiedy przyjrzycie się wzorom na szybie, zauważycie, że drobniutkie kryształki lodu wyglądają jakby nanizane na jedną nitkę. To właśnie w tych rowkach osiadają kryształki.

Kiedy na dworze panuje silny mróz, lodowe wzory pojawiają się i na wewnętrznych szybach. Chłodne powietrze przenika z ulicy poprzez szparki w oknach. Miesza się w pobliżu szyb z powietrzem ogrzanym w pokoju i znowu tworzy się para. Osiada ona na chłodnej szybie i zamarza w kształcie wzorzystych rysunków.

ŚNIEGOWE BUTY

„Śniegowymi butami" nazywano je przed tysiącami lat. Były wtedy krótkie, szerokie, czasem nawet okrągłe. Przymocowywali je ludzie do nóg, aby zapobiec zapadaniu się w głębokim śniegu. Ojczyzną ich była południowo-wschodnia Syberia. Stamtąd przywędrowały na Półwysep Skandynawski do Europy..."

Tak się zaczyna historia nart.

Ludzie, zamieszkujący przestrzenie podbiegunowe, używali nart już przed wieloma setkami lat. Podczas długich i mroźnych zim mieszkańcy śnieżnych pustkowi wędrowali na nartach w poszukiwaniu zwierzyny i ryb.

Zimowa hulajnoga

Przed dwudziestu kilku wiekami narty różniły się bardzo od tych, na których jeździmy dzisiaj. Długość nart dorosłego człowieka wynosiła około 1,5 metra, a szerokość około 20 cm. Były one znacznie mocniejsze od naszych.

W Szwecji używano przed tysiącem lat nart niejednakowej długości. Para nart składała się z jednej deski długości ponad trzy metry i drugiej krótszej i szerszej, która miała około 80 cm długości. Krótsza narta pokryta była od spodu fokową skórą i służyła do odpychania się. Ułatwiała ona zwroty i zabezpieczała przed cofaniem się przy podejściu na pochyłości. Nartę tę nazywano „andur". Druga narta, dłuższa, służyła do ślizgania się. Jazda na nartach była więc podobna do jazdy na hulajnodze.

Jeszcze dotychczas używane są w Azji Północnej krótkie narty, podobne do tych sprzed wieków. Niektóre typy nart azjatyckich zakończone są dziobami z obu stron. Ruchome rzemienne wiązania pozwalają na swobodne zakładanie buta, bez względu na „przód" i „tył". Na takich nartach można wykonać pełny zwrot nie odrywając desek od śniegu.

Przed laty, aby zapobiec cofaniu się nart, spód desek pokrywano skórą. Sierść skóry przy ześlizgu w tył „jeżyła" się i hamowała. Dziś futro zastąpiły wygodniejsze w użyciu smary. Pierwsi zastosowali je Rosjanie i Finowie.

Tyle o śniegowych butach — o nartach.

A kijki

Czy można jeździć na nartach bez kijków?

Posłuchajcie! Kiedy „śniegowe buty" były bardzo krótkie a za to szerokie, kijków nie używano, nie ślizgano się wtedy bowiem na nartach, ale człapano. W późniejszych latach zaczęto jeździć z jednym kijem — ale wcale nie po to, żeby się nim odpychać — służył on jako obrona przed wilkami. Przekonali się jednak ludzie, że używając kijka jedzie się szybciej.

I tak zastosowano do jazdy na nartach najpierw jeden, a potem dwa kijki.

* * *

Dziś jeździcie na dwu jednakowych nartach, używacie doskonałych smarów, podpieracie się bambusowymi kijkami.

Kiedy w czasie ferii będziecie „szaleć" na nartach, przypomnijcie sobie ich długą historię — pomyślcie o „śniegowych butach", o futrze zamiast smaru i o jednym kijku.

MISTRZOWIE ŚWIATA POZDRAWIAJĄ HARCERZY

Na zakończenie Miesiąca Przyjaźni Polsko-Radzieckiej do Warszawy przyjechali mistrzowie świata w siatkówce — sportowcy radzieccy. Wspólne treningi i zawody, jakie rozegrali z naszymi siatkarzami, na pewno przyczynią się do podniesienia poziomu gry polskich zawodników.

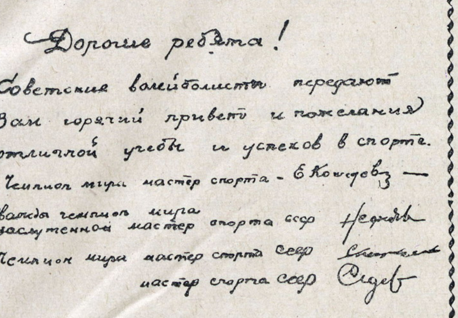
Дорогие ребята!
Советские волейболисты передают
Вам горячий привет и пожелания
отличной учебы и успехов в спорте.
Чемпион мира мастер спорта —
Дважды чемпион мира заслуженный мастер спорта СССР Нефедов
Чемпион мира мастер спорта СССР
мастер спорта СССР Седов

Drogie Dzieci!

Radzieccy siatkarze przesyłają Wam gorące pozdrowienia oraz życzenia dobrej nauki i osiągnięć w sporcie.

Mistrz świata, mistrz sportu ZSRR — KOSZELEW.

Dwukrotny mistrz świata, zasłużony mistrz sportu ZSRR — NIEFIEDOW.

Mistrz świata, mistrz sportu ZSRR — SZCZERBAKOW.

Mistrz sportu ZSRR — SIEDOW.

Na zdjęciu: grają — młodzieżowa reprezentacja ZSRR z mistrzem Polski — AZS Warszawa.

Irka Traczyńska, z województwa rzeszowskiego, na trasie slalomu III Harcerskich Igrzysk Zimowych.

W lutym brałem udział w III Harcerskich Igrzyskach Zimowych. Mieszkaliśmy w ślicznej, słonecznej willi. Z okien mego pokoju widać było wysokie góry i lasy pokryte śniegiem. Było naprawdę pięknie, jak w bajce. Drugiego dnia po przyjeździe rozpoczęły się Igrzyska. Przed samymi zawodami ustawiliśmy się na placu w olbrzymi czworobok. Każdy zespół wojewódzki inaczej był ubrany. My, harcerze z województwa gdańskiego, mieliśmy marynarskie czapki. Najładniej wyglądali harcerze z Lublina i Krakowa.

Przed otwarciem Igrzysk przemawiał do nas generał Naszkowski. Zapisałem sobie jego słowa: „Rozwijajcie swoją tężyznę fizyczną, uczcie się coraz lepiej, rośnijcie na mężnych, światłych, niezłomnych żołnierzy, gorących patriotów, którzy zawsze będą gotowi stawać jak jeden mąż w obronie świętej ziemi ojczystej". Słowa te stale pamiętam i nigdy ich nie zapomnę.

Na Igrzyskach startowałem w slalomie. Pomimo silnej konkurencji zająłem szóste miejsce. Miejsca tego jednak nie utrzymałem, bo sędziowie odliczyli mi punkty za naukę. Nie miałem zbyt dobrych stopni. W tym roku staram się tak uczyć, aby sędziowie nie odjęli mi już ani jednego punktu. Chcę mieć same piątki. A pomagają mi w tym także moi koledzy.

Zdzisiek Walendykiewicz
Szkoła TPD nr 3 w Elblągu

ROZMAWIAMY O IGRZYSKACH

W POPRZEDNIM numerze pisaliśmy o konkurencjach narciarskich, które obejmuje program Igrzysk. W tym numerze zajmiemy się konkurencjami łyżwiarskimi.

A więc uwaga, łyżwiarze!

Na Igrzyskach będzie można się popisać jazdą szybką i zwinnościową. Zawodnicy startujący w **jeździe zwinnościowej** powinni znać prawidłową jazdę przodem i tyłem, przekładankę w lewo i w prawo, (tzw. ósemkę), zataczanie półłuków (holendrowanie). Obie te figury trzeba będzie wykonać i przodem, i tyłem. Ostatnią figurą będzie spirala.

Jazdę przodem i tyłem wykonujemy w prostej linii przez długość lodowiska. Przekładankę przodem i tyłem wykonujemy, zataczając koło o promieniu 8 m w lewo i w prawo, co daje na lodowisku rysunek ósemki.

Półłuki należy robić również przez długość lodowiska, zataczając je raz na lewej nodze, raz na prawej.

Aby wykonać spiralę, trzeba pojechać z rozpędu na zewnętrznej lub wewnętrznej krawędzi łyżwy, zataczając coraz mniejsze koła, tworzące rysunek spirali. Oprócz tych figur każdy zawodnik będzie mógł popisywać się przez minutę jazdą dowolną.

W jeździe szybkiej ten zostanie zwycięzcą, kto najszybciej przejedzie wyznaczoną trasę. Trasa będzie przebiegać wokół lodowiska, trzeba będzie dużą uwagę poświęcić jeździe na wirażach.

Aby być dobrze przygotowanym do zawodów, trzeba przez dłuższy czas trenować. W pierwszych dniach treningu starajcie się jeździć swobodnie, długim posuwistym krokiem, unikajcie zbytniego zmęczenia. W drugim okresie przećwiczcie starty oraz jazdę przy zachowaniu pozycji łyżwiarskiej (tułów pochylony ku dołowi, do lodowiska). Na koniec wreszcie starajcie się dobrze opanować jazdę na wirażach. Trening przeprowadzajcie regularnie, umiejętnie rozkładajcie siły.

O dalszych konkurencjach naszych Igrzysk, to jest o torze przeszkód i zjadach na sankach, napiszemy w następnym numerze.

SAMI BUDUJEMY LODOWISKO

CZĘSTO, przechodząc koło zamarzniętej rzeki lub stawu, ze złością lub z żalem wzdychamy: „Dlaczego lód jest wciąż taki cienki?" Albo: „Dlaczego ślizgawka jest tak daleko od szkoły?". Odpowiedź na to jest bardzo prosta. Gdy nie ma dużego mrozu, lód jest cienki, a rzeki czy stawu nie można przenieść w pobliżu szkoły. Mimo to ślizgawkę możemy mieć tam, gdzie będziemy chcieli.

Na pewno koło szkoły znajdzie się kawałek równego terenu. Wokół niego usypiemy wał z ziemi o wysokości 10 — 20 cm. Teren przewidziany na lodowisko dobrze wyrównamy i polejemy wodą, gdy ziemia przemarznie już do głębokości 5 cm. Jeśli jest dużo śniegu, budujemy wał śnieżny i udeptujemy śniegowy teren pod ślizgawkę. Lód na warstwie śniegu utrzymuje się dłużej.

Pierwsze polewanie należy przeprowadzić przy mrozie co najmniej 4-ch stopni. Nie wolno wylewać wody zbyt dużo. Teren spryskujemy, aby wszędzie była jednakowa grubość lodu. Jeżeli nawet odległość od źródła wody wynosi kilkadziesiąt metrów, to dwa rzędy harcerzy, kilka wiader i dwie polewaczki ogrodnicze wystarczą, żeby pokonać trudności.

Lodowisko trzeba codziennie zamiatać, a większe ilości śniegu zgarniać łopatami i szuflami. Wszystkie dziury w powierzchni „lutujemy" kawałkami lodu, śniegiem i ciepłą wodą. Aby ślizgawka była utrzymana w porządku, trzeba często zamiatać śnieg, nie wnosić piasku na lodowisko, skrapiać lód wodą. Dobrze też będzie zbudować ławkę, aby wygodnie zakładać łyżwy.

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

Rozwiązania i nagrody

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 42 (202)

USZKODZONY RACHUNEK: 120 egz. geografii i 180 egz. historii.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 42 (202) nagrody książkowe otrzymują: 1) **Kazimiera Dymczyk** — w. Czerwone, p-ta Kolno, 2) **Michalina Jagosz** — w. Lipowa 199, pow. Żywiec, 3) **Władysław Kamiński** — Warszawa, ul. Szaserów 85 m. 3, 4) **Bożena Karasińska** — Poznań, ul. Kącik 1 m. 1, 5) **Helena Kunach** — w. Sępy, p-ta Młynary, pow. Pasłęk, 6) **Kółko Matematyczne kl. V Szkoły Podst. nr 1 w Muszynie,** 7) **Irena Pielacińska** — w. Dąbrowno, pow. Ostróda, 8) **Alina Pietrykowska** — w. Sułów k. Zamościa, 9) **Andrzej Zieliński** — w. Debrzno, pow. Człuchów, 10) **Jutta Żwaka** — w. Łany, pow. Koźle.

NAGRODY AUTORSKIE

działu rozrywkowego otrzymują:

Grzegorz Andrzejewski — Namysłów, ul. Pułaskiego 32 — za zadanie pt. „Uszkodzony rachunek" w nr 202.

W. Dubiel — Lubliniec, ul. Grunwaldzka 48, szpital — za zadanie pt. „Kto ułoży?" w nr 205.

TAK ADRESUJCIE LISTY DO REDAKCJI

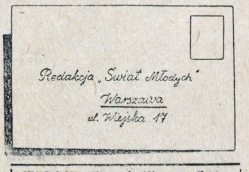

WYDAJE: Zarząd Główny Związku Młodzieży Polskiej. Redaguje: Zespół — Warszawa, Wiejska 17, telefony: 62-549, 87-527, 85-619. ADMINISTRACJA: RSW „Prasa" III Delegatura, Warszawa ul. Marszałkowska 8, telefony: 63-720, 80-711, 62-462. KOLPORTAŻ: PPK „Ruch" W-wa, Srebrna 12, tel 80-429 (33).
Listy do redakcji przesyłajcie na adres: „ŚWIAT MŁODYCH" Warszawa, ul. Wiejska 17.
Warunki prenumeraty: Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca poprzedzającego okres zamawianej prenumeraty. Cena prenumeraty mies. — 0,90 zł, kwart. — 2,70 zł, półrocznie — 5,40 zł, rocznie — 10,80 zł. Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa" W-wa, Marszałkowska 3/5. Nakł. RSW „Prasa"
3-B-23086

W Indiach, które są jednym z najbogatszych krajów świata, umiera co roku z głodu przeszło milion ludzi. Przyczyną tego jest rabunkowa gospodarka, prowadzona przez angielskich kapitalistów oraz indyjskich magnatów i obszarników, którzy bezlitośnie wyzyskują 300-milionowy naród.

Kiedy ostrzejsza, niż zwykle, posucha spustoszyła pola chłopów i głód zajrzał do ubogich chat, Związek Radziecki pośpieszył z pomocą narodowi indyjskiemu, przywożąc na swoich okrętach żywność, jako braterski dar dla mieszkańców okolic dotkniętych głodem.

KAMIENNY bungalow[1]) rysował się wyraźnie na tle akacjowego gaju. Wysoki, najeżony kolcami żywopłot bronił spokoju bogacza. Dwa ogromne psy szarpały się na łańcuchach, warcząc groźnie i szczerząc zęby na widok nieproszonego gościa. Majbilama pchnął furtkę. Wiedział, że musi pomówić z tym człowiekiem.

Lichwiarz siedział na bambusowej macie i leniwie przeżuwał pan-su-pari[2]). Oczy miał przymknięte i robił wrażenie posągu jakiegoś bóstwa wykutego w brązie. Tylko od czasu do czasu prawa ręka podnosiła się zwolna, aby odpędzić natrętne muchy. Gdy Majbilama wypowiedział słowa powitania, Aghore Babu otworzył niechętnie lewe oko i z obrzydzeniem spojrzał na przybysza.

— Dlaczego przeszkadzasz mi w rozmyślaniu? — spytał gniewnie.

— Wybacz mi, panie! — W głosie Majbilamy czuć było tajoną obawę. — Nigdy nie ośmieliłbym się zakłócać spokoju twego domu, gdyby nie ważna sprawa, o której pragnę mówić.

Lichwiarz otworzył drugie oko i skinął przyzwalająco głową.

— Naszą wieś i całą okolicę nawiedziła wielka klęska suszy — zaczął Majbilama. — Słońce wypaliło proso i fasolę, a nawet kukurydzę. Nie mamy co jeść, panie. Błagam was, pożyczcie mi ziarna. Muszę przecież zasiać — choćby trochę maruy. Inaczej ja i cała moja rodzina pomrzemy z głodu.

Aghore Babu przez chwilę gładził w zamyśleniu swój długi nos.

— Żałuję — powiedział wreszcie — ale nic nie mogę dla ciebie zrobić. Nie jestem bogatym zamindarem[3]). Jestem tylko skromnym kupcem. Czy wiesz, że twój dług jest już bardzo duży i że jak tylko zechcę, to zabiorę ci ziemię? Nic nie dam, ani ziarna, ani pieniędzy. Idź precz!

— Panie! — zawołał zrozpaczony Majbilama. — Ja mam żonę, dzieci i wnuki. Wszyscy pomrzemy z głodu, jeśli nam nie dopomożesz. Miejże litość!

— Nic ci pomóc nie mogę. Odejdź stąd, bo inaczej każę cię poszczuć psami! — Głos lichwiarza stał się nagle ostry i zły. Rozmowa była skończona.

✻

PRZYSZŁY ciężkie głodowe dni. Gliniane chaty, pozbawione okien i kominów, przypominały wyschnięte kretowiska. Spalona słońcem, trawa wydeptana była przez krowy, które gromadnie włóczyły się po wsi w poszukiwaniu jakiegoś pożywienia. Wiele z tych zwierząt, czczonych przez mieszkańców wiosek, ginęło z głodu.

Ludzie we wsi wyglądali jak szkielety i razem z wynędzniałymi zwierzętami szukali źdźbeł trawy i obłupywali korę z drzew. Słabsi, trawieni gorączką, nie mieli sił walczyć i pozostawali w chatach na swych barłogach. Na domiar złego lichwiarze i zamindarowie zabierali chłopom ziemię za długi i za niezapłacone podatki.

W ciemnej chacie Majbilamy stara Ratan konała z wycieńczenia. Nie miała już sił dźwignąć się z posłania, nie mówiła już nic, patrzyła tylko smutno na siedzące w kącie, nieruchome dzieci.

Gdy w progu stanął Ali, mały Tedża przybiegł do niego na swych chwiejnych, kabłąkowatych nożynach.

— Czy przyniosłeś mi coś do jedzenia? — spytał żałośnie.

Chłopiec potrząsnął głową. Nie, nie miał nic. Chodził przez cały dzień, szukał, chciał znaleźć coś dla dzieci. Rozpacz ściskała go za gardło.

Poganiacz wielbłądów

Tej nocy Ali nie mógł zasnąć. Myślał nieustannie o tym, że trzeba coś zrobić, ratować starą Ratan i małego Tedżę. Serce biło mu gwałtownie. Drobna postać Tedży stała mu bez przerwy przed oczami. Słyszał nieustannie płaczliwe, proszące słowa: „Czy przyniosłeś mi coś do jedzenia?“

Nad ranem Ali powziął decyzję: pójdzie i poszuka pomocy. Przecież gdzieś na świecie są ludzie, którzy mają co jeść. Będzie ich błagał o ratunek dla starej Ratan, dla małego Tedży, dla Majbilamy, dla całej wsi. Muszą go wysłuchać!

✻

BOSE stopy grzęzną w pyle spalonej słońcem drogi. Kolczaste krzaki dzikich róż znaczą się ciemniejszymi plamami na piaszczystych wydmach. Ali usiadł na niewielkim wzgórku i oparł spocone czoło. Dopiero teraz uświadomił sobie, że właściwie nie wie, dokąd ma iść... Słoneczny żar zalewał równinę. Okolica była pusta, nieomal bezludna.

Przed wieczorem chłopiec napotkał wędrownego bramina[5]). Brodaty człowiek o dużych zamyślonych oczach wysłuchał w skupieniu opowiadania i rzekł patrząc przed siebie: „Głód jest wszędzie, a losy ludzi są w ręku najwyższego“. Poczem westchnął i ruszył w swoją drogę, podpierając się grubym, sękatym kijem.

Zapadła noc. Na niebie poczęły zapalać się pierwsze gwiazdy. Zerwał się leciutki wiatr i zaszeleścił liśćmi przydrożnego drzewa. W oddali zaśmiała się hiena. Chłopcu zrobiło się straszno. Był zupełnie sam, zagubiony w tym pustkowiu, otoczony ciemnością, w której może się kryć nieznane, straszliwe niebezpieczeństwo. Ułożył się pod drzewem akacjowym i usiłował zasnąć. Czuł ogromne zmęczenie, ale lęk przed tajemnicami nocy spędzał mu sen z powiek. Wreszcie, znużony całodziennym marszem, zasnął głęboko. Śniły mu się pachnące kukurydziane placki i duża miska, pełna świeżego mleka.

Gdy pierwsze blaski dnia zaróżowiły horyzont, Ali poderwał się, zjadł kilka fig, które udało mu się zdobyć poprzedniego ranka, i ruszył w dalszą drogę. Szedł wytrwale, nie zważając na zmęczenie i na gorejące w górze słońce.

W trzecim dniu swej wędrówki zobaczył starego człowieka jadącego na wielbłądzie. Zatrzymał go i spytał o radę. Starzec spojrzał ze zdziwieniem na chłopca i powiedział: „Jeżeli będziesz szedł ciągle w kierunku słońca i jeżeli będziesz się śpieszył, to po dziesięciu dniach i po dziesięciu nocach dojdziesz do wielkiego miasta, które leży nad brzegiem morza. Tam znajdziesz ludzi, którzy ci pomogą, tam przyjeżdżają okręty z dalekiego kraju, które wiozą żywność“. Podróżny sięgnął do skórzanej torby, wyjął z niej garść suszonych daktyli, podał je Alemu i odjechał, poganiając wielbłąda długim rzemieniem.

Mijały skwarne dni i ciemne noce wędrówki. Ali wychudł straszliwie, sczerniał, twarz mu się zapadła i tylko oczy błyszczały mocnym blaskiem. Żywił się okruchami strawy, wyżebranej w chatach takich, jak on nędzarzy, wodę czerpał z przydrożnych źródeł. Nie miał już sił, czuł, że niedługo już utrzyma się na nogach. Przerażała go myśl, że nie zdoła dojść do owego miasta, o którym mówił człowiek na wielbłądzie.

Pewnego dnia jednak Ali ujrzał jaśniejące z dala w słońcu mury. Wielkie miasto: Bombaj. Nigdy, w najśmielszych nawet snach nie wyobrażał sobie, że mogą istnieć na świecie tak olbrzymie domy, że może być tylu ludzi. Ruch i gwar oszołomiły go zupełnie. Zdawało mu się, że śni. Ludzie na ulicy potrącali go i popychali, ale on nie czuł tego. Dopiero po paru godzinach przypomniał sobie, po co przyszedł. Począł wypytywać przechodniów, gdzie jest morze i gdzie przypływają okręty. Po długim błądzeniu trafił do portu. Tu zobaczył nieznanego białego mężczyznę, w rozpiętej bluzie i w dużym korkowym hełmie na głowie. „To jest pewnie ten człowiek, który mi pomoże“ — pomyślał Ali i zbliżył się odważnie.

— Panie — zaczął, chwytając nieznajomego za rękaw.

— Go away![6]) — wrzasnął mężczyzna i zanim chłopiec zrozumiał o co chodzi, gruby, rzemienny bat spadł ciosem na jego nagie plecy. Ali zwinął się w kłębek, jęcząc z bólu. Czterech tragarzy portowych zatrzymało się tuż koło nich.

— Dlaczego bijecie tego chłopca, sahib?[7]) — spytał barczysty Hindus, marszcząc groźnie brwi. Oficer cofnął się o krok i machnął w powietrzu rzemiennym batem. Przez chwilę dwaj mężczyźni mierzyli się spojrzeniem. Wreszcie jednak biały sahib odwrócił się i odszedł w kierunku portowych zabudowań. Ali wyprostował się i zaczął rozcierać krwawiące barki.

— Coś ty za jeden? — spytał robotnik. — Skąd jesteś?

Chłopiec opowiedział, po co przyszedł aż tutaj, do tego ogromnego miasta.

— Pomóżcie mi, ratujcie Majbilamę, małego Tedżę i ludzi we wsi, którzy giną z głodu.

Robotnicy spojrzeli po sobie.

— Czy widzisz ten okręt, tam na prawo? — powiedział najstarszy z nich. — Ten z piękną czerwoną banderą. Tam znajdziesz pomoc. Tam są ludzie, którzy przybyli naszemu narodowi na ratunek.

— Jakże ja się do nich dostanę? — zaniepokoił się Ali.

— Chodź z nami — rzekł z uśmiechem robotnik.

Po chwili Ali siedział w łodzi i płynął w kierunku ogromnego radzieckiego transportowca.

Na pokładzie białoskórzy marynarze słuchali uważnie jego opowieści. Jeden z robotników tłumaczył nie bez pewnej trudności słowa Alego. Co chwila ktoś zadawał pytania. Pytali o rodzinę, o ludzi ze wsi, o to, czy Ali umie pisać i jak sobie radził w podróży. Gdy chłopiec skończył mówić, radziecki oficer podniósł się ze swego miejsca i objął go serdecznie ramieniem.

— Ładziec — powiedział z uśmiechem.

Ali poczuł się nagle bardzo słaby i zarazem bardzo szczęśliwy. I zrozumiał w tej chwili, że Majbilama nie umrze z głodu.

✻

MAJBILAMA zwlókł się z posłania i po omacku zaczął szukać dzbana z wodą. Już drugi dzień nie opuszczał swej lepianki. Brakło mu sił. Nie czuł nawet głodu. Ogromny bezwład opanowywał całe ciało. Najbardziej dręczyła go myśl, że nie może uratować swych bliskich.

Nagle warkot przerwał ciszę umierającej wsi. Majbilama uniósł głowę i począł pilnie nadsłuchiwać. Co to jest? Czy mu się zdaje? Czy już zaczyna majaczyć? Chwiejnym krokiem dowlókł się do drzwi i wyszedł z chaty.

Wielkie samochody ciężarowe wjeżdżały między gliniane lepianki. Majbilama przysłonił oczy, nie rozumiejąc, co to się dzieje.

Z jednego auta wyskoczył mały, zwinny chłopak i począł biec ku niemu, ile sił w nogach. Ali! Chłopiec dopadł starca i wołał zdyszanym głosem:

— To wszystko żywność, dużo ryżu, mąki, kaszy. Już nie umrzemy z głodu, już nikt we wsi nie umrze!

— Skąd to wszystko? — pytał drżącym głosem Majbilama.

— Z okrętu z czerwoną flagą, dalekiego szczęśliwego kraju — odpowiedział Ali.

1) bungalow — wysoki płot.
2) pan-su-pari — mieszanina ziół, którą Hindusi przeżuwają podobnie jak Amerykanie gumę do żucia.
3) zamindar — poborca podatkowy.
4) Hindusi czczą krowy jako zwierzęta święte.
5) bramin — kapłan hinduski.
6) go away! (czyt. gou uej) — precz! (po angielsku).
7) sahib — pan

W miastach Indii na środku chodników leżą półnagie postaci wędrowców, obok których ludzie przechodzą obojętnie.